1847. Nr 6. d. 20 Lutego. ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

DANDY.

O, i ja kiedyś byłem Dandysem!
Lecz czy wy wiecie co dandys znaczy?
Słuchajcie chwilkę—to swym opisem
Pierwszy ulicznik wam wytłómaczy,
To lichwiarz Berek najlepiéj powié:
Jemu więc wierzcie, choć szachrajowi.

Dandys—żyd mówi—to dziecko moje,
Co na pamierne bierze procenta,
Ja go za własne pieniądze stroję,
Choć ich nie zawsze zwrócić pamięta:
A tak mu trzeba fraka, krawata,
Żeby za niego oddał pół świata.

I nic go w świecie wstrzymać nie zdoła,
On wszystko z siebie sprzeda ze stratą,
Choć dochód szczupły, choć kieszeń goła,
Choćbyś mu w głowę chciał kłaść łopatą!
Próżno go trudzić i niepokoić,
On zawsze modnie musi się stroić.

Więc i mnie kiedyś fortuny koło
Rzuciło w liczne Dandysów grono;
Żyło się świetnie, hucznie, wesoło,
Z czupryną zawsze w górę wzniesioną,
Co tak jeżyła, tak się srożyła,
Jakby samemu Niebu groziła!

Spojrzyjcie na ów szczep Abrahama
W czarnym żupanie, w czapce Hussyta,
Feine-moreine, to cymes sama!
Czém on był z młodu?—niech go kto spyta,
To Icek purec, co z bosym piętem
Tak się zbogacił naszym procentem.

On to Dandysów pochłonął w sobie,
Zadławił żywcem braci kochanych,
Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie głupców zbankrutowanych,
Czy to jest łaska, czy kara nieba,
Lecz pożyczywszy oddać potrzeba.

Jak ów Zabłocki co płynął z mydłem,
Tak jam w świat modne rozpuścił szaty
I żyję na wsi życiem przebrzydłém,
By nie uchybić miesięcznéj raty;
Ha, próżne żale—słuchaj ladaco,
Dawniéj tyś płacił, dziś tobie płacą.

O wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja dandys jakby z żurnala zdjęty,
Muszę się nudzić za marne złoto,
Siedzić nad książką we trójkę zgięty,
By się odczepić brodatéj strzechy,
Odpokutować za dawne grzechy!

Wiecież wy o tém, brudni lichwiarze,
Że wasze ruble, te wasze dzieci,
Są jako słońce, co gdy Bóg każe
Mądrym i głupcom za równo świeci:
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że ci dopieka przez całe lato.

Cóż w tym dziwnego, że chcąc żyć modnie,
Poznać świat wielki, ten świat dziewiczy,
By sprawić nowy rajtrok i spodnie,
Kilkaset złotych Dandys pożyczy?
Dawać na procent—hańba żydowi—
Nie mieć rajtroka—wstyd dandysowi.

Choć tedy rajtrok na siebie wdzieję,
Szerokie w kraty zawalę spodnie,
Jeden mię chwali, drugi się śmieje,
Inny znów szepce, że to nie modnie.
Nie modnie?—mówisz—powiedzże bracie,
Co wy takiego modnego macie?

Wszakże ten rajtrok—to moje życie,
Nabyty pracą i trudem krwawym,
Ja po pięć od sta płacę Hussycie,
Dałem mu rewers razem z zastawem:
A co do spodni—moi panowie!
To aż mi włosy stają na głowie.

Więc cóż?—nie modnie!—o, bądźcie szczersi,
Gdyby wam przyszło codzień frymarczyć,
Z każdym lichwiarzem forsować piersi,
By chciał świeżego grosza dostarczyć,
W jakiejżby cenie, był koszt nie wielki
Téj rękawiczki lub kamizelki?

A kiedy przyjdzie rewers zapłacić,
To na Dandysa zajęcze poty,
Musi coś sprzedać, musi coś stracić,
Musi tysiączne znosić kłopoty;
Bo ile razy strój modę zmienia,
Tyle ucierpi jego kieszenia.

Czasem zdaleka słyszę oklaski
Szczere, nieszczere, wszystko mi jedno,
Znam te lecące od drzewa trzaski,
Znam tę monetę świata przesadną;
Wasze pochwały—toć to szyderstwo!
Wasze procenta—to czyste ździerstwo!

Gdy się w Niedzielę szewczyk wystroi,
Świeży kołnierzyk po nos zawali
I poda rękę kochance swojéj,
Czyż mu nie rada?—czyż go nie chwali?
Jaką ów szewczyk w świątecznéj dobie,
Tęż samą dumę Dandys ma w sobie.

A więc porzućcie marne pochwały,
Gdy jest tak dumny jak szewc w niedzielę,
Inne mu wcale wieńce przystały:
Niech się tak prześpi jak sobie ściele;
On wierzy w żyda, on słucha mody,
Innéj on, innéj żąda nagrody!

Chwałą Dandysa jest cisza owa,
Z któréj najgłupsza głowa wytropi,
Że w jego mózgu jakaś myśl nowa
Błysła jak drugi Filip z konopi;
Lecz wprzód nim w całéj pełni zaświeci,
Z pustéj stodoły wróbel wyleci.

Nagrodą jego są te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem,
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia
Z życzeniem długo w piersi stłumianém,
By już nadeszła ta moda przecie
Chodzić w spódniczce albo w gorsecie.

To mi nagroda!—jam ją odbierał,
Wkoło mię bracia Dandysy stali,
Każdy mój ubiór wzrokiem pożerał,
Ten mi zazdrości, tamten mię chwali:
I jednozgodnie gawronów gniazdo
Mnie ogłosiło Dandyzmu gwiazdą.

Dandysy znikli—cisza grobowa,
Ani ich śladu, ni o nich wieści,
Czasem ulicą wiatr zaszeleści;
Pustą, jak zwykle, dandysa głowa,
Bo wszystko przeszło, wszystko przewiało,
Co dniem i nocą bruk szlifowało!

O, i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych,
Aż kiedyś, kiedyś w lat drugie tyle,
Gdy Allah każe zbudzić uśpionych
I tańcujący wieczór wyprawi,
By pohulali wszyscy łaskawi,

Tam do salonu na siódmém niebie,
Wieczorną chwilą, jak każe moda,
Allah mię również wezwie do siebie,
Uściśnie rękę, cygaro poda,
Będzie rozmawiał ze mną łaskawie
Z nogami na krzyż przy czarnéj kawie,

I najcudniejsze zwoła dziewice,
A ja, na razie, z wielkiego strachu
Nawet nie spojrzę w ich piękne lice,
Ale z pokorą powiem: „—Allahu!
Czy to nie będzie bez etykiety,
Ambarasować obce kobiety?—

Nie żądam kawy, choćby smaczniejszéj
Od téj com niegdyś pijał na ziemi,
Lecz ja nie gardzę względami twemi,
Ja tylko łaski błagam pełniejszéj,
Niech w miejscu kawy co przy mnie stoi,
Powrócą wszyscy koledzy moi!

I pozwól, pozwól, choćby na chwilę
Ubrać się świetnie do wielkiéj gali,
Niechaj świat cały oczy wywali,
Widząc zebranych dandysów tyle,
Wszyscy jak jeden, tak wystrojeni,
Z szpicrutą w ręku, z mydłem w kieszeni."

Allah wysłucha—wnet grzmiące echa
Zwołają Icków, Berków, Manysów,
Co to będzie za gewalt! uciecha!
Zobaczyć tylu osłów-Dandysów!
Może wam wówczas, o biedne żaki,
Sięgnąć się zechce po wawrzyn taki!

Adam Krasiński.



O NAJNOWSZYCH ULEPSZENIACH
W ŻEGLUDZE PAROWĖJ
i
MARYNARCE
z dołączeniem krótkiego opisu Machiny cieplikowéj Ericssona.

(Dokończenie.)

Poznawszy dotąd ważniejsze zalety Princetona, przejdźmy znów do głównego naszego przedmiotu, od którego rzecz tę rozpoczęliśmy i dołączmy tutaj kilka jeszcze porównawczych uwag, które mimowolnie nam nastręczają się. Konstruktorowie okrętów parowych w Europie dotychczas pysznili się z budowy okrętu Great Western, wystawiając go za wzór do naśladowania. Rządy Francyi i Anglii, posiadają bardzo znaczną liczbę paropływów, ale żaden z nich nie może iść w porównanie z Great Western, ani pod względem chyżości, piękności lub bezpieczeństwa. A wszelako, jakże niekształtne i ciężkie wydają się: machina jego parowa i koła łopatkowe obok wspaniałego Princetona i zgrabnéj jego silnicy.—Wystrzał jeden dobrze wymierzony, może zniszczyć zdolność jego samoistnego poruszania się i oddać go na igraszkę wiatrom i falom. Uszkodzony tym sposobem znalazłby tylko otuchę w swych żaglach; podczas ciszy na morzu, bezwładna massa jego spoczywałaby na powierzchni wód, a podczas wiatru znów rozpięte jego żagle nie wiele mu by się przydały, bo ruch jego nadzwyczaj jest utrudniony dla wielkiego ciężaru paliwa, maszyneryi i oporu pochodzącego od nieruchomych kół łopatkowych. A to co sprawiedliwie zarzucić można wsławionemu Great Western, czyliż nie stosuje się także do całéj floty parowéj należącéj do rządów Europy, a która, jak wiadomo, głównie zbudowaną była w widokach

handlowych i do ułatwienia komunikacyi, nie zaś do odrębnego celu, jakim jest skuteczne działanie w zaczepkach lub obronie podczas wojny na morzu?

Zwróćmy się teraz do Princetona i spójrzmy nie tyle na uzbrojenie jego, bo to obecnie nie zupełnie jeszcze urządzono, ile raczéj na zdolność i swobodę w dowolném poruszaniu. Machina parowa i cały apparat poruszający go całkowicie, pod poziomem wody są położone, mechanizm zmuszający do ruchu propellatora, tak jest prosty, iż niczém prawie nadwerężonym być nie może; bynajmniéj nie jest przystępny dla siły zewnętrznéj, którąby go zniszczyć chciano. Ogołoć go z żagli, obal maszty jego, przedziuraw samą nawę pociskami, zniszcz przód i tył okrętu aż do poziomu wody, a jednakowoż machina jego parowa czynną być nie przestanie, w kotłach jego para ciągle tworzyć się będzie i siła poruszająca go najmniejszego nie dozna uszczerbku. Powszechném jest mniemaniem, że upowszechnienie siły pary na oceanie, zmianę za sobą pociągnie w taktyce wojennéj na morzu; lecz zasady wedle których Princeton jest zbudowany, zniewolą mocarstwa morskie do zupełnego przeistoczenia sił swych wojennych.

Statki parowe podług dziś przyjętéj budowy, dogodne są do utrzymania komunikacyi między odległemi brzegami i opodal rozłożonemi flottami, do holowania okrętów wojennych i przyprowadzenia ich na linię bojową, ale zdolnémi nie są do czynnego działania w bitwach morskich. Trudno wyobrazić sobie groźniejszéj i razem bezpieczniejszéj machiny wojennéj nad Princetona. Nie tylko działać on może w każdéj porze i odległości z największą dokładnością wbrew wiatrom i falom morskim, ale nadto niepostrzeżony znienacka uderzyć może na przeciwnika swego i zniewolić go do poddania się. Nie otaczają go kłęby dymu, któreby przybliżenie się jego zdradzały, a nieme działanie podwodnego propellatora jego nie ostrzega w nocy nieprzyjaciela o jego zbliżaniu się. Burze i cisze nie zdołają zarówno sprowadzić go z kierunku zamierzonego, ni wstrzymać go w swym postępie; umieszczenie siły poruszającéj go pod linię wodną, zabezpiecza go od pocisków nieprzyjacielskich. Od niego samego zawisł czas i miejsce do zaczepki. Nigdy przymuszonym być nie może do przyjęcia bitwy, i w tysiącach podobnych okoliczności, w których złamana linija bojo-

wa, lub uszkodzone łopatkowe statki parowe pewną im zgubę gotują, sam Princeton tylko, dzięki niezrównanéj swéj sile poruszającéj, z walki na chwilę zwycięzko cofnąć się zdoła, dla zajęcia dogodniejszego stanowiska, z któregoby na około siebie mógł szerzyć śmierć i zniszczenie.

Czy przypadkowi, czyli téż przezornemu wyrachowaniu przypisać to mamy, zawsze szczęśliwém nazwać można wydarzeniem dla kraju naszego, że nie wstąpiły w ślady pierwszego rzędu państw Europejskich w zrobieniu tak niezmiernych nakładów na próbę dla ustalenia żeglugi parowéj po oceanie. Miliony po milionach funtów szterlingów wydatkowano na zbudowanie owych flot parowych, które w porównaniu z ulepszeniami zaprowadzonemi na Princetonie, podczas obrotów wojennych tak małéj są wartości i znaczenia, że je raczéj za tendry i statki ładunkowe uważać winniśmy, niż za celne nawy rozstrzygające los bitew na morzu. Kiedy zwyczajny żaglowy okręt wojenny, choć kilkunastu wystrzałami ugodzony, silny jeszcze opór stawiać może, jeden dobrze wymierzony pocisk pogrąży niewątpliwie w toni wód najzuchwalszego śmiałka ze statków parowych, które dziś morza przebywają pod banderą Francyi lub Anglii.

Zachowanie dotychczasowe środków naszych materijalnych, celem korzystniejszego ich użycia na budowę okrętów wedle składu i urządzenia pysznego i dzielnego Princetona pod względem żeglugi parowéj, stawia nas w położeniu krytyczniejszém, niż jakiegokolwiekbądź mocarstwa morskiego. Śmiele rzec można, że Princeton sam jeden w stanieby był obronić się natarciu całéj floty łopatkowych statków parowych. Powiadano mi, że kapitan Stockton tak mocno przekonany jest o wyższości okrętów parowych podług genialnego pomysłu Ericssona, iż niedawno z tém słyszeć się dał, że z dwudziestu fregatami parowemi téj nowéj budowy, ośmieliłby się opanować ciaśninę Katolańską i sam Londyn blokować.

Lecz niesłusznémby było cieszyć się tylko z wynalazków doskonalących sztukę wojskową i je wychwalać; nieporównanie są one pożyteczniejsze i zaszczytniejszą chwałę jednają swym twórcom jeżeli się przyczyniają do rozprzestrzenienia dobrodziejstw cywilizacyi, dostatku i szczęścia pomiędzy wielką rodziną człowieczeństwa. Mówiliśmy

dotąd tylko o propellatorze wyłącznie pod względem wojennéj marynarki parowéj; ale użyteczność jego podczas pokoju stokroć większą okaże się przez ułatwienie pewnéj i szybkiéj kommunikacyi między przyjaznemi sobie ludami, rozsianemi po całéj kuli ziemskiéj. Użycie siły pary do żeglugi po oceanie, już wielką i ze wszech miar korzystną w niéj zmianę dokonało; lecz z powodu niedokładnego działania kół łopatkowych, dotychczas stanowczo korzystać nie powiodło się z połączonéj siły pary i wiatru. Przez zaprowadzenie właśnie propellatora w miejsce kół łopatkowych, dwa te silniki, jeden sztuczny a drugi naturalny, harmonijnie sobie dopomagać i naprzemian wyręczać się mogą. Wiadomém jest, że użycie żagli po statkach parowych zwyczajnych małą tylko korzyść przynosi. Działanie wiatru o żagle, na bok statek przechyla, a ztąd jedno z kół łopatkowych pod poziomem wody pogrąża się, kiedy drugie z niego wystaje. To widocznie znaczne sprawia zmniejszenie prędkości. Propellator przeciwnie zawsze z równą działa skutecznością bez względu na pionowe lub przechylone położenie posuwającego się paropleywu, a tak w połączeniu działać może na pośpiech cała moc pary i wiatru. Najniekorzystniejszy przypadek dla dwóch tych działaczy zachodzi, gdy kierunek wiatru wprost jest przeciwny temu, w którym propellator statek ma popędzać, ale i wtenczas jeszcze po zwinięciu żagli, ku miejscu przeznaczenia bezpiecznie dążyć może, lubo z mniejszą chyżością; we wszystkich innych zaś położeniach zamierzonéj drogi i kierunku wiatru, ani jednego nie ma przypadku, w którymby dwa znakomite te i ruch rodzące silniki były z sobą w rozbracie. W razie, gdyby maszynerya w czém bądź szwank poniosła, lub gdy idzie szczególnie o oszczędność paliwa, z łatwością zawiesić można czynność propellatora, a statek postępować będzie wyłącznie w skutek rozpiętych swych żagli. W princetonie naprzykład taki zachodzi związek między machinami parowemi a propellatorem, iż ten za lekkiém dotknięciem się drąga sforowego, w mgnieniu oka wyluzować się daje. Tym sposobem odczepiony obraca się luźno na około swéj osi, sprawując małoznaczący tylko opór w ruchu postępowym okrętu.

I w istocie lekkość, mała objętość propellatora i prostego składu machiny parowéj ruch jemu nadającéj, przemawiają za jego urządzeniem i zaprowadzeniem nawet na zwyczajnych okrętach żaglowych, dla których skuteczną bardzo siłą pomocniczą stać się może. Bezwątpienia w téj postaci, znakomity ten wynalazek najrozciąglejszy i razem najdobroczynniejszy wpływby wywierał na udoskonalenie marynarki handlowéj. Nie trudno też przewidzieć, że w niezbyt odległym już czasie, statki przeznaczone do żeglugi po oceanach, tym pomocniczym silnikiem opatrzone zostaną, bo on usposobić ich może do przebywania wszelkich odległości choćby i największych, i stawienia się na czas w miejscu przeznaczenia bez zwłoki i przeszkody i z tą pewnością i pośpiechem, która tak ludzi jak Ludy do ciągłéj zagrzewa działalności, też działalność wywołuje i uzacnia.

Przejdźmy teraz do krótkiego opisu machiny cieplikowéj (caloric engine) Ericssona, która kilka lat temu w Anglii tak wielkie zrobiła zajęcie. I w rzeczy saméj, gdyby ona w przyszłości dała się uczynić praktyczną, słusznie nazwaćby ją można najznakomitszym wynalazkiem, o jakim rozum mógł pomyślić, bo z upowszechnienia jéj dla społeczeństwa daleko większe wyniknęłyby korzyści w zadosyćuczynieniu potrzebom życia towarzyskiego, niż te, które przyswojenie innych silników przyrodzonych dotychczas ludziom przyniosły. Ericsson zamierzył bowiem sobie rozwinąć, za pośrednictwem ciepła z małéj ilości paliwa, nieograniczoną prawie siłę poruszającą, tak iż człowiek wszędzieby ją mógł mieć na usługi swoje, a nawet tam gdzie materyał opałowy bardzo jest kosztowny. Samo wysłowienie podobnego zamiaru dostatecznem już jest do ogłoszenia go za zupełnie niedorzeczny, według dotąd znanych własności ciepła i oznaczonych przez doświadczenie granic ilości pracy mechanicznéj, jaką dana jego ilość rozwinąć może, tém bardziéj kiedy wszyscy uczeni nasi za niewątpliwą przyjęli to prawdę, że ograniczona ilość ciepła ograniczoną też tylko ilość pracy mechanicznéj wydać może, bez względu na środek do jakiegobyśmy je wprowadzili, lub ciała z którembyśmy to ciepło połączyli.

Ale też teorya ciepła Ericssona zupełnie inną jest od powszechnie przyjętéj; a mianowicie, nie przyjmuje on tego pewnika, że ilość pra-

cy rozwiniętéj przez ciepło zawsze w stałym znajduje się stosunku do ilości wydobytego ciepła z materyałów opałowych, tudzież że praca dokonana przez dokładnie zbudowane machiny parowe, mniéjwięcéj za prawdziwą miarę pracy cieplika uważać się powinna.

Zmarły szwedzki professor Harvefeld, jeden z najznakomitszych matematyków nowoczesnych, w publicznych swoich lekcyach przed niewielu jeszcze laty utrzymywał, że w całéj teoryi cieplika nic takiego znaleść nie można, coby się temu twierdzeniu sprzeciwiło, że pospolita lampa spiritusowa dostateczną ilość ciepła wydać może dla poruszenia machiny o sile stu koni. Każdy łatwo uwierzy, że z pomiędzy słuchaczów tego professora, mała tylko była liczba, których to rozśmieszyć nie miało, ale właśnie jednym z téj małéj liczby był Ericsson, który zastanawiając się nad pracą silników przyrodzonych nieznane źródło siły, zwane cieplikiem oddawna, przywykł był uważać za działacza, rozwijającego pracę mechaniczną i nieponoszącego ztąd ani uszczuplenia, ani zmiany co do swéj istoty. Szczególny ten pojaw, wedle zapatrywania się swojego, wyjaśnia i tłumaczy Ericsson następującym nader prostém i przekonywającém rozumowaniem. Dajmy, mówi tenże, że tłok w cylindrze zwyczajnéj machiny parowéj znajduje się w położeniu swojém najniższém, i przypuśćmy żeśmy pod tłok do cylindra parę wpuścili, tudzież że taż para wywiera ciśnienie wynoszące 100,000 funtów, co wyrównywa mniéj-więcéj sile odpowiadającéj powierzchni tłoka o średnicy wynoszącéj 50 cali i przy ciśnieniu pary równem 50 funtów na jeden cal kwadratowy. Oprócz tego wystawmy sobie, że tenże cylinder parowy na 10 stóp jest długi, i nareszcie że tłok w nim poruszający się 100,000 funtami jest obciążony. Gdybyśmy więc przy tych okolicznościach wpuścili dostateczną ilość pary o wzmiankowanéj sprężystości, ów ciężar wynoszący 100,000 funtów, zostałby podniesiony do wysokości równéj całéj długości cylindra, czyli para udźwignęłaby ciężar 100,000 funtów do wysokości 10 stóp. Lecz któżby tu chciał twierdzić, że ogromna ta dokonana praca wymagała zużycia jakiéjkolwiek ilości ciepła?— Czyliż para po udźwignieniu wspomnionego ciężaru, nie zawiera w sobie zupełnie takiéjże saméj ilości ciepła jaką przed tym skutkiem posiadała opuszczając kocioł,—chyba mniéj tylko o tę jego ilość, jaką z po-

wodu ostudzenia stracić mogła?—i czyliż toż ciepło nie zachowało statecznie tychże samych własności, jakie przed działaniem posiadało? Azaliż więc się mylę, mówi Ericsson, twierdząc żeśmy ową pracę osiągnęli nie zmieniwszy w niczém ani nie zmniejszywszy istoty i działalności zużytego ciepła?

Lecz jakże niedokładnie dotąd jeszcze korzystamy z działacza tak nadzwyczajnych przymiotów, którym przyrodzenie nas obdarzyło, w celu przystosowania go do prac mechanicznych! W machinach parowych o niskiém ciśnieniu, przymuszamy parę po wywarciu działania swego aby udała się do apparatu konpensacyjnego, gdzie w pewnym względzie ciepło całkiem niszczymy, w machinach znów parowych o wysokiém ciśnieniu, wypuszczamy też parę wprost na wolne powietrze!

Pomimo tego, znakomici nawet mechanicy, szydzą z saméj myśli wynajdywania czegoś pożyteczniejszego nad machiny parowe, a nauka nawet zdaje się być zupełnie zadowolona ze stanu obecnego ich wydoskonalenia.—Gdyby teoretyk jaki okazać nam chciał wady machin parowych i usiłował je zastąpić innym doskonalszym wynalazkiem, na niewielką uwagę by to zasłużyć mogło; lecz czyliż widoki i zdanie człowieka, odznaczającego się obszernémi doświadczeniami praktycznemi, który sami machiny parowe budował i plany ich wygotował, nie są godne, iżby się bliżéj nad niemi zastanowiono?

Z tego co się dotąd powiedziało, widzimy, iż zasadą główną machiny cieplikowéj Ericssona jest to, aby po każdym skoku tłoka z ciepła zabranego przez parę, korzystano powtórnie, po raz trzeci i t. d., zamiast tego co mu rozchodzić się pozwalamy bezkorzystnie i uronić bez powrotu. Tego wszelako niepodobna jest dokonać używając pary wodnéj za środek działania. Ericsson użył dla tego gazów a w szczególności powietrza atmosferycznego. Po prostu zamierza on sobie: iżby ciepło zatrzymane przez powietrze opuszczające cylinder, za każdym skokiem tłoka, skutecznie znów łączyło się z powietrzem wchodzącém do tegoż cylindra. Cel ten osiągnął on za pomocą przyrządzenia któremu nadał nazwę „Regeneratora”,—i to tak doskonale przeznaczeniu swemu czyni zadosyć, że owe ciepło, które potrzebném było do wprawienia w ruch machiny, ciągle téż ją w ruchu utrzymuje, nie

wymagając dostarczania innéj ilości ciepła, prócz téj, jaką z powodu ostudzenia utraca.

Znakomity ten wynalazek po raz pierwszy okazany był światu naukowemu w Londynie w r. 1833, chociaż Ericsson oddawna nim już zajmował się, i miał za upodobany przedmiot swych badań i wyrachowań. Z wyjątkiem tylko sławnego Doktora Andrzeja Ure i Professora Faraday, którzy nateraz najznakomitszemi chemikami są w Anglii, wszyscy inni pierwszego rzędu uczeni byli przekonani, że machina ta osnowana jest na mylnéj i niedorzecznéj zasadzie.

Po niektórych poprzedniczych próbach, przedsięwziętych w zamiarze oznaczenia najstosowniejszego kształtu dla swego regeneratora, wystawił wynalazca machinę cieplikową o sile pięciu koni, którą znaczna liczba osób znanych ze światła swego i nauki oglądała i działanie jéj podziwiała. Pomiędzy temi znajdował się także znany z pism swych ludolubnych Ryszard Philipi, który w dziele swém pod tytułem: „Dictionary of Arts of Life and Civilisation” o téj machinie taką uczynił wzmiankę: „z niewymownem zadowoleniem patrzałem się na ruch pierwszego modelu machiny o sile pięciu koni. Za pomocą garści paliwa ogrzewającego płyn tak czuły jakim jest powietrze atmosferyczne, oraz przez nadzwyczaj dowcipne rozłożenie jéj napięcia, widziałem w szczupłéj przestrzeni ciągle powracającą siłę, zdolną rozwinąć pracę tak potężną, jaką kiedykolwiek człowiek mógł owładnąć i do celów swych użyć.”

Zajęcie się powszechne tym przedmiotem nie uszło uwagi rządu Wielkiéj Brytanii. Sam Lord Althorp, Sekretarz ministerium spraw wewnętrznych, nateraz hrabia Spencer, udał się do miejsca, w którém nowa ta machina była czynną. W towarzystwie znakomitego urzędnika tego znajdowali się: pan Brunel, konstruktor tunelu pod Tamizą i inny pewny pan, znany swego czasu jako znakomity i genialny inżynier, lecz który natenczas już, z powodu podeszłego swego wieku, mniej stosownym mógł być sędzią nowego tego wynalazku. Na wstępie zaraz rozmowy zarzucał pan Brunel wynalazcy mylne wyobrażenie o prawach, podług których działają silniki przyrodzone, i w żadne bliższe wyjaśnienie przedmiotu z nim wdawać się nie chciał. Żwawa ztąd na miejscu powstała sprzeczka między wynalazcą a panem Bru-

nel, po któréj przewlekła nastąpiła korrespondencya listowa. A wypadkiem tego było, że rząd angielski o nowym tym wynalazku niekorzystne otrzymał sprawozdanie.

Wynalazek ten w ręku Professora Faraday mało co lepszém cieszył się powodzeniem, po którego wszakże zdaniu i wpływie wiele dobrego spodziewać się można było. Uczony ten ogłosił zamiar odbycia lekcyi publicznéj o tym przedmiocie w obszernym amfiteatrze królewskiego Instytutu w Londynie. Nowość wynalazku łącznie z reputacyą professora, zwabiła wielkie mnóstwo słuchaczy, pomiędzy któremi znajdowało się wiele osób celujących swą wiedzą i nauką. Z tém wszystkiém właśnie na godzinę przed czasem naznaczonym, kiedy wyjaśnienie rzeczy nastąpić miało, spostrzegł uczony professor iż mylne sobie był wyobrażenie utworzył o prawie rozszerzalności, które istotę nowéj téj machiny stanowi. Jakkolwiek tenże nie jedną był godzinę poświęcił na dokładne zrozumienie działania machiny cieplikowéj, i przeświadczył się o rzeczywistéj jéj sile przez kilkakrotnie powtórzone próby, wszelako Professor Faraday przymuszonym był wyznać w obec zebranych swych słuchaczy zaraz na wstępie zapowiedzianéj swéj lekcyi, iż zgoła nie zna przyczyny dla któréj machina ta pracuje. Z tego powodu ograniczył się tylko na objaśnieniu składu regeneratora i sposobu w jakim ciepło ciągle do cylindra powraca i nanowo się zużywa do rozwinięcia siły. Téj części wynalazku oddał on sprawiedliwą pochwałę i opisał ją w słowach tak zajmujących i trafnych, które mu jak zawsze tak i tą razą jednały sławę jednego z najzdolniejszych i najznakomitszych publicznych nauczycieli w Anglii.

Oprócz nieporozumienia zaszłego między panem Brunel i Ericssonem, tudzież niepowodzenia professora Faraday, inne jeszcze okoliczności przyczyniły się do spóźnienia przystosowania tego pięknego wynalazku do praktyki. Wysoka temperatura, w któréj utrzymać wypadało powietrze krążące w machinie i ztąd szybkie zniedokwaszanie się metalu użytego do jego budowy, wkrótce zniszczyło tłok, wentyle i inne części składowe. Tym niedogodnościom starał się wynalazca zaradzić stawiając nową tego rodzaju machinę na znaczniejszą jeszcze skalę, lecz i ta lepszego nie okazywała powodzenia. Te przeciwności wszelako nie zraziły go od dalszych poszukiwań i doświadczeń.—W ciągu

pobytu swego w tym kraju (Ameryce) wystawił kapitan Ericsson dwie podobne machiny wprawdzie na mniejszą skalę i w widoku wyłącznie czynienia doświadczeń, aby osiągnąć swój zamiar przy niższéj niż dawniéj temperaturze, i w istocie zbliża się téż coraz stopniowo, ale tém pewniéj, do urzeczywistnienia wielkiego tego zadania.

Czas nie pozwala nam rozwodzić się w tém miejscu nad głębokiemi i ze wszech miar zajmującemi porównaniami, jakie Ericsson czyni między zasadą machiny swéj cieplikowéj a życiem istot żywotnych i głównemi działaczami przyrodzenia. Niektórych jednak jego obliczeń tutaj pominąć nie możemy dla zasłonienia go od zarzutu, jakoby budując swą machinę popadł w urojenie stworzenia *perpetuum mobile.*

Sofista tłumaczy nieprzerwaną reprodukcyę siły w przyrodzeniu, tém, co przecudną nazywa równowagą (a nice balance). Jeżeli wyrażenie się podobne nie zdoła w umyśle słyszącego je zrodzić jasnego wyobrażenia rzeczy, winą to zapewnie jest tego który używając, sam przedmiotu dobrze nie pojmuje. Wystawia on sobie, że wszystkie silniki przyrodzone pracują i przeciwnego sobie silnika do walki wywołują, lecz tego tłumaczyć sobie nie umié, jak jedne drugim ulegają. Jeżeliby nauka ta była prawdziwą, naówczas zasada machiny cieplikowéj w istocie bardzo byłaby podobną do zasady *perpetuum mobile*, bo celem jéj jest utworzyć siłę ciągle działającą bez względu na zmniejszenie téj mocy jaką pierwotnie posiada. Jakkolwiek zdumiewającém to być się zdaje, jednakowoż prawdziwość tej zasady udowadnia działanie najznakomitszych silników przyrodzonych, gdyż one, jak Ericsson twierdzi, pod względem ściśle mechanicznym całkowicie prawie tracone bywają, czyli innemi słowy mówiąc, wyradzają się nie zdziaławszy odpowiedniego użytecznego skutku. A przecięż nigdy przyrodzeniu nie zbywa na nieograniczonéj ilości siły!

Dla bliższego oznaczenia potęgi téj siły, przytoczymy tu kilka wyrachowań Ericssona, które bezwątpienia w podziwienie tych wprawiają, którzy uwagi swéj na przedmiot ten nie byli jeszcze zwrócili. Ilość wody staczającéj się co sekunda z wodospadu Niagara przez przybliżenie oceniona jest na 28,000 beczek po 20 centnarów, czyli na 3,360,000,000 funtów spadających z wysokości 150 stóp na minutę, albo 504,000,000,000 funtów z wysokości jednéj stopy. Podzieliw-

szy tę liczbę przez 33,000, co wyraża liczbę funtów odpowiadających sile jednego konia, a podniesionych w ciągu jednéj minuty do wysokości jednéj stopy, otrzymamy w wypadku, że wodospad Niagara rozwija ciągłą pracę równą sile 15,000,000 koni. Wiadomo że zwyczajna machina parowa o sile jednego konia utrzymywana, nieustannie w ruchu w przeciągu roku jednego zużywa 20 beczek węgla kamiennego; przeto dla rozwinięcia siły za pomocą machin parowych równéj téj, którą Niagara przedstawia, wypadałoby rocznie zużyć 300 milionów beczek węgla kamiennego. Lecz Niagara stanowi tylko małą część całego spadku rzeki Sgo Wawrzyńca, i prócz tego powierzchnia ziemi we wszystkich kierunkaah przerzynana jest rzekami i wszędzie na spadki wód natrafiamy, których połączona siła wielką liczbę razy wypadek przytoczonego tu rachunku przechodzi. Jakże więc ogromną i zdumiewającą jest taż siła! A przecież nikt temu przeczyć nie może, iż ona we względzie mechanicznym bezkorzystnie traci się i że przyrodzenie ciągle na nowo ją odradza. Dosyć w tém miejscu na słowie jedném, aby przekonać się, jak niedołężnemi są używane przez nas sposoby rozwinięcia siły mechanicznéj. Chcąc machinami naszemi parowemi stworzyć siłę równą jednemu tylko milionowi koni, wnet wyczerpnęlibyśmy podziemne zbiory paliwa, gdy tymczasem przyrodzenie nieustannie po milion razy większą siłę objawia, nie pociągając za sobą najmniejszego dostrzedz się tylko dającego zmniejszenia. Nie widzimyż tu więc machiny cieplikowéj na największą skalę i regeneratora wyższego nad wszelkie udoskonalenia?

Może niektórzy za źródło przytoczonych silników przyrodzonych uważają wpływ promieni słonecznych, ale twierdzenie to dowodzi tylko że między niemi a odległą przypuszczoną przyczyną jakiś związek zachodzi, ale bynajmniéj początku ich nie wyjaśnia. W zamiarze zbijania opinii podobnie rozumujących, Ericsson odpowiada inném obliczeniem, opierającem się na ocenieniu potęgi siły żywotnéj, któréj działanie od wpływu słonecznego nie koniecznie zależy. Wedle jego rachunku, siła ciągle objawiana przez istoty żywotne, wyrównywa działaniu machiny parowéj o sile 100,000,000 koni. Wiadomo że człowiek zdolny jest wywrzeć natężenia równe 50 funtom wzdłuż drogi wynoszącéj 100 stóp co minutę podczas ośmiogodzinnéj pracy na

dobę. Siła ta wprawdzie nie bez przerwy i ciągle bywa rozwiniętą, ale w możliwości człowieka się znajduje. Ztąd w przecięciu siłę człowieka bardzo umiarkowanie oznaczamy, przyjmując ją równą 10 funtom dźwiganym ciągle do wysokości stu stóp na minutę; jeżeli więc liczba ludzi na kuli ziemskiéj 1,000,000,000 wynosi, naówczas połączona ich siła stać może za machinę parową o sile 30,000,000 koni.

Siła zwierząt czworonożnych takiejże dosięga wysokości, a mieszkańców wód daleko większą jest od dopiero wspomnionéj. Wiemy np. że siła wielorybia dosyć często przechodzi moc 20 koni, tak, że wyżéj obliczona siła ludzi dałaby się zastąpić przez 1½ milliona tych zwierząt. Z tego wszystkiego wynika, że zebrana siła wszystkich istot żyjących na kuli ziemskiéj, daleko większą jest niż machiny parowéj o 100,000,000 koni.

Wspomnieliśmy już, że machina parowa o sile jednego konia zużywa rocznie 20 beczek węgla kamiennego. Ztąd wynika, że przy obecnych naszych niedokładnych środkach rozwinięcia pracy mechanicznéj, potrzebowalibyśmy rocznie 2000 millionów beczek tego paliwa dla stworzenia siły równéj sile istot żyjących. Gdybyśmy więc mieli w przeciągu jednego tylko wieku utrzymać ciągle takowe natężenie, przy powyższém umiarkowaném nawet obliczeniu, potrzebaby na to 200,000 millionów beczek węgla kamiennego, coby za sobą pociągnęło zupełne wyczerpnięcie łożyska tegoż węgla, zawierającego rozległość 3000 mil kwadratowych i na 100 stóp grubego. A jednakowoż istoty żyjące na ziemi bezustannie utrzymują i rozwijają tę siłę, nie ponosząc ztąd jakiegobądź uszczuplenia lub zmiany.

Prawda, że nie znamy zasady mechanicznéj podług któréj zjawisko to dokonywa się, ani przyczyny życia zwierzęcego naznaczyć nie umiemy; ale niedorzecznémby było twierdzić, iż to się dzieje wedle dowolnego i bezprawidłowego przeznaczenia. Rozum sam zniewala nas do przypuszczenia, iż pojawy te, na mocy stałych i niezmiennych praw przyrodzonych rozwijają się; zkąd znów mimowolnie i bezwarunkowo przychodzimy do wniosku, iż w przyrodzeniu istnieć musi *prawo bezwzględnego odradzania się* siły mechanicznéj.

Nie potrzebujemy tu dłużéj zatrzymywać uwagę nad tém, że prawo to zależném jest od nadzwyczajnych przymiotów ciepła, o których już napomknęliśmy. W tém miejscu dość jest nam pokazać, że przyrodzenie nieskończoną i obliczyć się niedającą siłę poruszającą ciągle wyradza, nie doznawając przez to jakowejś widocznéj zmiany.—Jakkolwiek niedokładną jeszcze być może zasada machiny cieplikowéj Ericssona, wszelako w tém podobną jest do owéj szczytnéj zasady nieustającego odradzania się sił przyrodzonych, i jeżeli praktyczne trudności nie przechodzą jéj urzeczywistnienia, natenczas wynalazek ten rozleje na ród ludzki dobrodziejstwa, jakiemi dotyczczas żaden jeszcze jeniusz społeczności nie obdarzył. *)



*) Jest to lekcija publiczna miana przez John O. Sargent w lyceum bostońskiém w grudniu roku 1843, z angielskiego przełożona przez Professora gimnazyum realnego w Warszawie, Augusta F. Bernhardta.

BEZ PRZESĄDU,

SZKIC SPÓŁCZESNY.

(Dalszy ciąg.)

X.

Sie sieht den Wurm an meiner Jugend-Blume nagen
Und meinen Lenz entfloh'n.
Bewundert still mein heldenmüthiges Entsagen
Und grossmuthsvoll beschliesst sie meinen Lohn.
Schiller.

Trzy tygodnie minęły, Helena nie wiedziała czy Stanisław powrócił, i serce jéj obległa obawa i troska, a lubo ukrywała wzrastający z dniem każdym niepokój, to przecież otaczający ją spostrzegli chmurkę na jéj czole i tęschny wyraz oczu. Różne ztąd wnioski powstały: Zenon przypisywał sobie i swojéj zręczności tę zmianę; Robert, bywający teraz znowu w Załęczu, mniemał, iż jego posępność zwyciężyła nakoniec serce hrabianki,—i z pomiędzy wszystkich jedna tylko marszałkowa poczęła się domyślać, że tę smętność spowodowała nieobecność Stanisława.

W dniu ś. Róży obchodziła hrabina Siedlicka imieniny swoje, na które syn jéj całe towarzystwo załęckie zaprosił. Laura i marszałkowa jeszcze były przy gotowalni, gdy Helena potrzebująca zawsze nader mało czasu do ubrania się, już w skromnym stroju w salonie bawiła. Z tęschném uczuciem usiadła przy fortepianie i ażeby tłoczące się nawałem niespokojne myśli odpędzić, albo raczéj w rzewnéj wylać je nucie, gdy tego w słowach uczynić nie mogła, poczęła grać war jacije na piosnkę: *Wiljo naszych strumieni rodzico!* ułożone pierwotnie na skrzypce przez proboszcza czarlejskiego.

Powtarzając w myśli wyrazy piosenki, przypomniała sobie dawniejsze marzenia i obraz owego ideału, utworzonego w młodéj wyobraźni. Z temi wspomnieniami połączyły się i najświeższe wrażenia—teraźniejszość — obrazy coraz wybitniejszéj nabierały barwy.... i zwolna, zwolna, jak kiedy oko w ciemności do niéj wreszcie nawyka i przedmioty rozpoznawać poczyna, tak samo i ideały Heleny występowały z zamroki myśli, i nakoniec, przybrana w owe świetne, złote szaty, ukazała się...... szlachetna postać Stanisława Zbrożka!.... Serce jéj zadrżało, dźwięki nuty umilkły—może po raz pierwszy poznała uczucia swoje!—Uznajemy wtedy dopiero całą wartość tego, co tracimy, a Helena mniemała, że go już może więcéj nie zobaczy! W strwożonym umyśle snuły się tylko same smutne widzenia, i tak jéj było ciężko, że nawet łza jedna z ulgą nie pospieszyła. Wśród tego zadumania się posłyszała lekki szelest, machinalnie podniosła oczy i wydała stłumiony krzyk przelęknienia: ujrzała uosobiony obraz swoich marzeń.

— Przepraszam, bardzo przepraszam!—wymówił pomięszany Stanisław.

— O, to ja powinnam przeprosić za mój krzyk nierozsądny—odpowiedziała Helena z uśmiechem, lecz usta jéj drżały z silnego wrażenia—grałam właśnie te warjacije.... i zadumałam się, nie posłyszawszy nawet jak pan wszedłeś. Kiedyżeś pan wrócił?

— Dopiero wczoraj.

— Pan dłużéj bawiłeś nad zamiar.... obawiałam się.... nic o panu słychać nie było... i wdzięcznam panu, że po powrocie zaraz przybyłeś do Załęcza.

— Pragnąłem—wymówił Stanisław z widocznem wzruszeniem—widzieć panią i zapytać.... czyli mi wolno będzie tę pamiątkę z sobą zabrać?—i pokazał jéj uschły kwiatek stokroci.

— Dla czegóż to pytanie?—żywy rumieniec oblał lica Heleny.

— Wyjeżdżam.

— Znowu!...—i zbladła nagle.—Jestże to rzeczywiście?... Pana zraziła jaka niedorzęczność w Załęczu... Ja się poznaję na téj niechęci.

— Rzeczywiście wyjeżdżam...

— Ale przecie nie dzisiaj, ani jutro....

— Zbyt wysoce panią cenię, ażebym mógł przypuszczać, że pani przeczuwasz ile mi każda bytność w Załęczu cierpkości, jeżeli nie cierpień przyczynia, bobyś mnie pani nie zachęciła do powtórzenia odwiedzin moich.... Pani tego nie odgadujesz.... Ale chciéj mnie pan zrozumiéć! — dodał drżącym z namiętności głosem i pobladł — pani chciéj mnie zrozumiéć!... Dla mnie znikł spokój, może na zawsze: nas rozdzielają przesądy światowe, pomiędzy nami nieszczęsne, niezłomne uprzedzenia przepaść utworzyły....

Helenie tchu zabrakło: zrozumiałaż prawdziwe znaczenie wyrazów Stanisława?

— Ja nie ulegam żadnym przesądom—wymówiła spiesznie—nie znam przepaści, o któréj pan mówisz.

— Pani mnie nie zrozumiałaś!—zawołał zcicha, a w głosie jego odbrzmiewał ból głęboki.—Żegnam panią!... i kwiatek zostawiam.

— Panie Stanisławie!—wyrzekła nagle z mocném zarumienieniem i zadrżała—panie Stanisławie!... zrozumiałam pana: nic nas nie rozłącza.... chciéj i pan mnie zrozumieć: ręka moja jest wolną.... a serce....—umilkła, dłonią zakryła oczy, drugą rękę wyciągnęła ku niemu. Stanisław z niewysłowném wzruszéniem pochwycił podaną sobie....—gdy nagle drzwi stuknęły i wtoczyła się uaksamitowana czerwono, ogromna objętość pani marszałkowéj.—Ktoś wyrzekł, że zamiłowanie w czerwonym kolorze oznacza pewną dzikość uczuć—a pani marszałkowa przenosiła go nad wszelkie inne: czarnego nienawidziła, bo był dla niéj zbyt smutny, ponury; biały nazywała martwym, błękitny, lilla, różowy mgłemi i t. d.

— At, hrabianko! jużeś gotowa?—i niezwracając wcale uwagi na Stanisława, spoczęła czerwona pani w poręczowém krześle i dobyła z worka *á la Pompadour* wielką złotą tabakierkę.

Stanisław ze znaczeniem spojrzał na Helenę i skłonił jéj się pożegnawczo.

— Wyrazy szacunku i poważania dla pani kasztelanowéj.... Powiedz jéj pan *wszystko!*—wymówiła, przyciskając głosem na wyrazie *wszystko.*

Stanisław powtórnie skłonił się w milczeniu i wyszedł. Helena, unikając niemiłego sam-na-sam z marszałkową, wybiegła drugiemi drzwiami.

Po chwili przybyła Laura do salonu, pawiąca się w paryskich strojach i drogich brylantach.

— Nic nie wiész, co się w twojém domu święci—wybąknęła marszałkowa, zapychając nos ogromnym niuchem albanki.

— Cóż takiego?

— At, był tu dopiero ten Zbrożek, zastałam go samego z Heleną, i to w jakichsiś *tandresach*.

— Zbrożek był tutaj?!

— At dopiero co wyszedł. Mówiłam ci już przecie, że trzeba Henryka ostrzedz.

— Zrobiłam to! ale Henryk zaślepiony w rozumie siostry, odpowiedział mi, ażeby się w nic nie mięszać, że Helena ma zbyt wiele rozsądku, i Pan Bóg wie, jakie jéj tam pochwały dawał.

— Ależ to jest hańba zajmować się takim hołyszem!

— O! ja tego nie przeżyję!—zawołała Laura, i załamując ręce rzuciła się na *fotel*.

— To czysta warjatka ta dziewczyna! Potrzeba złemu zaradzić.

— Ale jak?

— Niechże się ten Sulimorzycki oświadczy....

— A hrabia Robert?

— Ej co tam! chrabąszczyk! Sulimorzycki, to bo mi przecie *personat*, i do Boga i do ludzi. Musi jéj się jeszcze dziś oświadczyć, a kto wie!.... Zresztą zobaczymy....

— Ach ten Zbrożek mnie zabija!

Obiedwie panie byłyby zapewne długo jeszcze ten przedmiot roztrząsały, ale nadejście Henryka, Zenona i majora przerwało ich rozmowę.—Wkrótce wyjechali wszyscy do Stromczyna.

XI.

Verhungern, betteln ist ein süss'res Loos,
Als sich verkaufen einem solchen Gecken.
A. P.

Kilkadziesiąt osób zgromadziło się, ażeby powinszować imienin pani hrabinie Siedlickiéj. Przybyła familija odległéj mieszkająca, zjechali się sąsiedzi, których do swojego towarzystwa przypuszczać raczyła, nadto i kilku znaczniejszych urzędników z pobliskiego miasta, których uprzejme w dom swój zapraszanie pani hrabiny, często do szczeréj zniewalało wdzięczności.

Z pomiędzy wszystkich odznaczali się szczególniéj państwo Mydlińscy, bo wystąpili z takim przepychem, na jaki tylko pieniężna duma zdobyć się może. A pan Robert czynił niezwyczajne grzeczności ich starszéj córce, osobie nie brzydkiéj ale téż i nie ładnéj, nieco za śmiałéj i wymuszonych ruchów,—bo pan hrabia Robert, zręczny światowiec (w rozumieniu własném), miał w tém pewne matematyczne wyrachowanie: przez czynione pannie Mydlińskiéj grzeczności mógł obudzić zazdrość w Helenie, i tém samém dojść do celu, który miał na oku; a drugostronnie, gdyby mu się niepomyślnie tutaj powiodło, utorował sobie już naprzód drogę do panny Mydlińskiéj, mającéj najmniéj pół miljona posagu.

W celu tak ważnym, jakim jest ustalenie losu syna, hrabina Siedlicka wystąpiła dzisiaj więcéj aniżeli wykwintnie. A gdy po wystawnym podwieczorku goście korzystając z pięknéj chwili podniowéj, do ogrodu wyszli, zwabiła ich pokrótce grzmiąca muzyka do suto oświetlonych salonów.

Helena zatrzymała się w otwartych drzwiach na ogród, obstawionych drzewkami cytrynowemi, wzrok jéj utonął w zaciemniałéj przestrzeni—myśli daléj pogoniły. Na sali tymczasem stawały pary do *kontredansa.*

— Pozwolisz pani sobie służyć?—przerwał Sulimorzycki jéj dumanie.

— Dziękuję, nie tańczę kontredansa.

— Jakto? dla czego?

— Nie lubię...., nie uważam na figury.

— Ależ to być nie może! dzisiaj w wyższych towarzystwach najwięcéj kontredansa tańczą.

— Tém gorzéj! mamy własne krajowe tańce, zapewne więcéj zgodne z charakterem naszym.

— Przecież charakter nasz ma dużo spólnego z charakterem Francuzów.

— Dla tego już nieraz się dziwiłem, że Francuzi, naród odznaczający się miłością własnéj woli, mają taniec jakiemiś naprzód, na lewo lub na prawo przepisanemi bieganiami krępowany, i to zawsze jedno i to samo.... Inny to dzielny nasz mazur! A świat wyższy od niego odwyka, i może kiedyś po wiejskich tylko chatach znaną jeszcze będzie mazowiecka nuta.

Helena spojrzała na salę, młode pary posuwały się wesoło po szklniącéj posadzce. Oczy jéj spotkały się z śledczym wzrokiem pani marszałkowéj i nieprzyjemnie tém dotknięta znowu się odwróciła na ogród.

Patrz pani!—wymówił Zenon—jak jasno w pośród wszystkich innych, błyszczy ta gwiazdka nad ową topolką.

— To polka a nad nią gwiazda! ładny symbol.... młodość i nadzieja!—oczy jéj znowu utonęły w błękitach i jakaś myśl uroczysta wyraziła się w rysach.

— Mówią, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę, która życiu jego przyświeca, że podwyższony blask jéj przepowiada mu bliskie szczęście a przyćmione światło cierpienie. Wszakżeż to i pomiędzy ludem naszym jeszcze taka wiara istnieje.

Helena nie zważała na to co mówił, lecz Zenon prawił daléj, a w końcu cichszym nieco dodał głosem:

— Dawniéj w nic nie wierzyłem, ale dzisiaj.... staję się zabobonnym. A pani—wymówił znowu głośniéj—czy wierzysz....

— W co?—zapytała z marzeń swoich ockniona.

— W gwiazdę swoję.

— O, wierzę w nadzieję!

— A cóżbyś pani na to wyrzekła, gdybym wyznał.... że pani moją jesteś gwiazdą!

— Że w to nie wierzę—odparła szybko i chciała odejść.

— A gdybym panią o tém przekonał i prosił o rękę, która jedynie uszczęśliwić mnie może?—zapytał zcicha.

— Odpowiedziałabym, że pan jesteś podobnym do dziecięcia, które ustawiając pałacyk z kart, tak długo tylko nim się cieszy, dopóki go nie ustawi, a potém znudzone, jednym podmuchem zniszczy dzieło starań swoich.

— O pani! jakież to porównanie!

— Tyle razy pan sam mówiłeś, a więcéj razy jeszcze poznać dałeś, że pana nic zająć nie potrafi, że pana świat nudzi, że okiem krytyka spoglądasz na wszystko, gdy przeciwnie ja ten sam świat ukochałam. Dla mnie każdy kwiatek, każda roślina ma powab, każdy letni poranek z nowém witam zajęciem, każdy wieczór gwiaździsty mnie zachwyca; ja lubię śpiew ptasząt, miłém mi nawet to odzywanie się świerszcza, które w téj chwili słyszymy. Pan wszędzie bezbarwną tylko widzisz rzeczywistość, a dla mnie ułuda życia jeszcze się nie zatarła. Pan nudzisz się sam sobą, a ja lubię marzenia moje,—różnimy się więc zupełnie: pan-byś poszedł na lewo, a ja na prawo....

— Z téj całéj przeto tyrady, którą mnie pani łaskawie zaszczycić raczyłaś, wynika odpowiedź:

„Idźmy każde w swoję drogę,
Bo ja cię kochać nie mogę."

I na tém koniec. Ja we wszystkich *fazach* mojego życia pozostałem zawsze jeden i ten sam, nadto jestem i synem dziewiętnastego wieku i roli Wertera odgrywać najmniejszéj nie mam ochoty. Od panny Heleny, jako pięknéj marzycielki, błądzącéj po jakiémś uroczém zaświeciu—wymówił z ironją—przewidywałem podobną odpowiedź, i dla tego urządziłem już poprzednio mój wyjazd z tych stron. A więc żegnam panią, życząc jak najpomyślniejszéj podróży po czarownéj krainie marzeń, złudzeń i....—dodał tajemniczo z wyrazem złośliwości—zawodów!

Ukłonił się z uśmiechem i wybiegł.

XII.

Une femme ne saurait échapper a la pénétration d'une femme.

Moliére.

Drugiego dnia po *festynie* stromczyńskim, przybyła kasztelanowa do Załęcza wraz z panną Marijanną, pokrewną swoją i towarzyszką już od lat wielu. Marszałkowa i Laura ździwiły się, że Zbrożka z niemi nie było, lecz uważały zarazem podwyższoną i szczególniéj wyraźną serdeczność sędziwéj sąsiadki w powitaniu Heleny. Po kilku chwilach zwyczajnéj bardzo rozmowy, oświadczyła kasztelanowa chęć zwiedzenia ogrodu.

Męskie towarzystwo Załęcza, wracające właśnie z dalszéj przechadzki, połączyło się z paniami, gdy się do kwiatów z cieplarni przeniesionych zbliżały.

Z zamiłowaniem i znawstwem zatrzymała się kasztelanowa przy pięknych i rzadkich roślinach, a gdy rozmowa stała się ogólną; gdy panna Marijanna poczęła nauczać jakim sposobem można utworzyć żółte i czarne róże,—kasztelanowa ujęła Helenkę pod rękę, przystąpiła do wielkiego aloesu, na którego grubym liściu Robert swoję cyfrę był wyrył, a potém uprowadziła ją chodnikiem, wijącym się wśród trawników ozdobionych gruppami drzew akacyjowych, wierzb płaczących i świerków.

Po chwili usiadły w nieco oddaloném miejscu i długo z sobą mówiły, a śledząca je Argusowemi oczyma marszałkowa, dostrzegła jak kasztelanowa Helenę w czoło pocałowała, poczém znowu zwolna daléj postępowały, dopóki reszta towarzystwa nie połączyła się z niemi.

Kasztelanowa przy pożegnaniu zaprosiła nazajutrz do siebie całe zebranie załęckie, ale że panowie wprzódy już byli ułożyli partiją polowania u jednego z sąsiadów, więc tylko damy bytność swoję przyrzekły.

— Ja tam do niéj nie pojadę—wymówiła marszałkowa, po odjeździe kasztelanowéj, do Laury—ale ty uważaj na wszystko, bo zdaje mi się, że tam się coś święci.

Nazajutrz, gdy pod wieczór Laura z Heleną powróciły do Czarleja, wybiegła przed pałac na ich spotkanie lat średnich kobieta w ciemném ubraniu, szczupła, niewysoka, pięknych błękitnych oczu.

— O moja ukochana!—zawołała z niewysłowną radością Helena i rzuciła się jéj w objęcie—była to pani Łódkowska.

Obiedwie trzymały się długo w uścisku—łzy wzajemne były najwymowniejszemi świadkami ich uczuć zobopolnych. Potém udały się do pokoju Heleny, gdzie przez kilka godzin na poufnéj spędziły rozmowie.

— I cóż?—zapytała marszałkowa Laury, stukając niecierpliwie złotą tabakierką o poręcz krzesła, na którém siedziała—cóż mi tam powiesz?

— Jakoś mi trudno *wykombinować* co się tam *agituje*. Kasztelanowa przyjęła nas bardzo grzecznie, zastaliśmy u niéj w pokoju jakiegoś młodego człowieka, którego nam, bez wymienienia nazwiska, jako swojego kuzyna *zaprezentowała*. Po chwili pokazała nam bardzo ładne Album z rycinami, a gdy ów kuzyn zajmował mnie objaśnieniami obrazków, kasztelonowa zwolna wyszła na balkon z Heleną, gdzie dość długo z sobą zcicha rozmawiały. Potém przyszła panna Marijanna, i panie z balkonu powróciły do nas. Nakoniec zjawił się i Zbrożek z teką w ręku.—Nuż nastąpiło witanie się z owym kuzynem, jak gdyby się oddawna nie byli widzieli.—„Gdzieżeś bywał kochany Stasio!—wołał—przyjechałem jeszcze przed południem i takem ciebie wyglądał!"—Zbrożek mu odpowiedział, że zdejmował niektóre ładniejsze widoki w okolicy i pokazał kasztelanowéj jakieś tam szkice, które wszyscy bardzo chwalili, alem w nich nic pięknego nie spostrzegła. Potém z tym panem kuzynem coś zcicha, tajemniczo na balkonie poszeptali i wreszcie z salonu wyszli. Kuzyn powrócił, ale Zbrożek już się nie pokazał więcéj.—Cokolwiek późniéj wyszliśmy do ogrodu, gdzie się Helena z panną Marijanną od nas odłączyły, wróciły dopiéro po długiéj chwili i uważałam, że Helena miała oczy zapłakane, i w czasie całéj drogi do domu była bardzo zamyślona.—Cóż więc ciocia z tego wnioskuje?

— Hm!—odmruknęła marszałkowa, pokręcając głową i wyrzekła: At, pewnie się panna upamiętała, iżby zrobiła niedorzeczność: odezwa-

ła się w niéj *bo* krew szlachetna, przypomniała sobie swoich *antenatów* i dawny *splendor* domu, *tandem* z kwitkiem odprawiła gbura. A możeby on ani był miał tyle bezczelności zbliżyć się do hrabianki, choć to zuchwała sztuka, jak każdy taki, co to nic do stracenia nie ma, ale bo ona czyniła mu *fawory*, jakby najlepiéj urodzonemu.

Minęło kilka tygodni a Zbrożek nie pokazał się w Załęczu, co niezwyczajnie Laurę i marszałkową intrygowało, gdy wreszcie dowiedziały się od panny Marijanny, będąc w Czarleju, że już oddawna z tych stron wyjechał. Radeby były czegoś więcéj od niéj się dowiedzieć, zdarzała się nawet ku temu i najlepsza sposobność, gdy się kasztelanowa z Heleną i panią Łódkowską zagadały—ale panna Marijanna wybadać się nie dała i o czém innéom mówić zaczęła.

— Może i nie było żadnego pomiędzy niemi romansu—wyrzekła za powrotem do domu Laura w poufnéj z ciotką rozmowie, ciesząc się nadzieją, że jéj faworyt, hrabia Siedlicki, potrafi może w końcu otrzymać rękę Heleny.

— At! mnie *bo* moje oczy nigdy nie mylą—odparła marszałkowa—ale widno ze wszystkiego, że u hrabianki było to tylko, at sobie fantaziją pańską, zwyczajnie dla spędzenia czasu, i toćże *bo* w tém nic tak złego nie ma.

— Może i *ta* Łódkowska *wyperswadowała* jéj, bo ciągle sobie mają coś do powiadania, po całych rankach spacerują, a wieczory i tak już długie przedłużają jeszcze, bo siedzą w Heleny pokoju aż po północy.... Ach co to za nudy!... gdyby téż już wyjechać do Warszawy!

I rzeczywiście, że teraz więcéj jak kiedykolwiek mogła się młoda hrabina na nudy żalić, bo sąsiedzi zrażeni jéj dumą i kwaśnemi minami, zaprzestali całkiem bywać w Załęczu, i Laura doznała jeszcze i tego upokorzenia, że jéj ostatnie wizyty pozostały bez odwzajemnienia się tych, których odwiedziła. Na domiar zaś złego nie pokazywał się i Robert, a na raz jeden posłyszano o świetnych jego zaręczynach

z panną Mydlińską, dziedziczką pięciu wiosek. Zmartwiona i oburzona tym *mesaliansem* Laura, nigdy go już więcéj nie wspomniała: został całkiem wymazany z rzędu osób godnych jéj pamięci.

Pozostała się jedna tylko kasztelanowa, która mało z domu wyjeżdżała i w któréj towarzystwie modna hrabina żadnego nie znajdywała *resursu*.

Tymczasem, kiedy się biedna tyle nudziła i mężowi zalegała uszy, ażeby jak najprędzéj Załęcz opuścić, Helena korzystała z wszelką przyjemnością z pięknych dni jesieni. W towarzystwie pani Łódkowskiéj dalekie odbywała przechadzki, do których bratowa nigdy należéć nie chciała, i temu ruchowi na wolném świeżém powietrzu przypisywała wzmocnione zdrowie i wesoły umysł, które w niéj wszyscy od pewnego podziwiali czasu.

W połowie listopada, gdy Zbisławscy już się wybierali na mieszkanie do Warszawy, Helena oznajmiła chęć powrócenia z panią Łódkowską do Skalna. Lecz temu oparła się Laura z całą namiętnością zepsutego dziecka, namówiona przez ciotkę, która nagle powzięła zamiar sprowadzenia z Litwy jakiegoś kuzyna i poswatania go z bogatą dziedziczką.

— Jeżeli mnie kochasz! jeżeli mi dobrze życzysz!—prosiła hrabina —to z nami zimę przepędzisz. Henryk już nawet zamówił dla ciebie oddzielny *apartament* w pałacu ......skich, gdzie dla nas najął mieszkanie.

— To mi przynajmniéj na parę tygodni pozwólcie do Skalna powrócić, mamy tam koniecznie niektóre zrobić rozporządzenia.

— Ale przyjedziesz w grudniu do Warszawy z panią Łódkowską? wszak przyjedziesz? daj mi słowo!

— Z pewnością przyjadę!—odrzekła z uśmiechem Helena, niepojmując zkąd taka nagła przyjaźń bratowéj powstała.

Tego samego wieczora, po życzeniu sobie nawzajem dobréj nocy, został major wezwany do Heleny i pani Łódkowskiéj, długo tam zabawił, i w pokoju hrabianki było nieprzerwanie słychać stłumionym głosem prowadzoną rozmowę. Ale pomimo wszelkich starań marszałkowéj i Laury, nie mogły się niczego od majora dowiedziéć.

Nazajutrz zrana pożegnała Helena z panią Łódkowską Załęcz, zabierając z sobą na wygodnéj bryce Pawlicką, Jakóbową i Małachnę, któréj zaokrąglone teraz policzki, nową barwą młodości i wesołym uśmiechem jaśniały.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)



KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA

—

Prawdziwy Judaizm, czyli zbiór religijno-moralnych zasad Izraelitów, czerpany z klassycznych dzieł rabinów; zebrał i ułożył A. Buchner, nauczyciel języka hebrajskiego i wykładu biblii w szkole Rabinów. Warszawa, w drukarni Jana Jaworskiego, w ósemce, str. 167 i LVIII oraz spisu rzeczy 8 i przedmowy 3.

Autor, znany z prac swoich nad Talmudem, już drugą w polskim języku ogłasza książkę. Pierwszą, były *Kwiaty wschodnie*, zawierające zbiór zasad moralnych, teologicznych, przysłów, przepisów towarzyskich, allegoryj i powieści wyjętych z Talmudu i pism owoczesnych. Dziełko to, znalazło dość zadowalające zdanie i rozbiór p. Feliksa Zielińskiego w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1842. Kaź. Władysław Wojcicki, zajmując cały tom 4ty swego dzieła literaturą polską wieku XIX, tak wspomniał o Buchnerze po p. Tugendholdzie:

„Drugi Izraelita, *piszący po polsku* A. Buchner........ pod względem języka i stylu mniej staranny jak Tugenhold."—

Nic to wcale nie poniża pana Buchnera, iż jako bardziéj biegły w językach obcych, wschodnich i nowożytnych, pisze swe dzieła nie po *polsku*, lecz każe je późniéj przekładać na język krajowy, by w szacie pospolitszéj, więcéj się stały powszechnemi. Ale grzéchem jest Dziejopisarzowi XIX wieku o tém nie wiedziéć, i porównywać styl nie *autora izraelskiego*, lecz *tłumacza Polaka*, z Mężem Starozakonnym mającym wielką u nas zasługę pod względem czystego pisania piękną polszczyzną. Ale przejdźmy do prawdziwego Judaizmu.

Abraham Buchner w nowéj pracy mającéj związek z tylko co przytoczoném pisemkiem dawniejszém,—zamierzył z samych tylko źródeł

i pism Rabinów posiadających powagę religijną u Izraelitów, wykazać: jakie są prawdziwe zasady Judaizmu?—i że te zasady bynajmniéj nie są przeciwne czystym wyobrażeniom o wierze i moralności. Na poparcie tego przytoczył 495 zdań urywkowych podług dzieł i autorów z których czerpał. Nie chcąc jednak swoich dowodzeń opierać jedynie na samych tylko wypisach, wytłoczył na czele książki trzy rozprawy: 1) O Judaizmie; 2) O handlu żydów, i 3) O stanie nauk i umiejętności u Żydów. W tych przedwstępnych wypracowaniach, autor użył wszelkich powag pisarzy starożytnych i nowożytnych, aby jak najmocniéj utwierdzić czytelników w tém rozumieniu, iż jakkolwiek wielu rabinów, przez brak naukowego wykształcenia, mogło wpaść na błędne i niedorzeczne mniemania, jednak żaden nigdy się nie odważył, coś takiego powiedziéć, coby się sprzeciwiało czystym wyobrażeniom o istnieniu Boga, o jego niecielesności, o wyborze człowieka między dobrém i złém, o nieśmiertelności duszy, o przyszłém życiu i o moralném postępowaniu człowieka. Takie tylko wyobrażenia zgodne są z duchem Judaizmu i dla tego,—(powiada A. Buchner)—praca jego, w któréj wszystko to zebrał, może być uważana *za prawdziwe wyrażenie ducha religii teraźniejszych Izraelitów*, i może, jak twierdzi, przekonać każdego dobrze myślącego człowieka, że Izraelici potrzebują tylko stosownego, podług pewnego planu, pod kierunkiem rządów przedsięwziętego wychowania młodzieży, aby się stać godnymi i użytecznymi członkami społeczeństwa. Wtenczas-to zarzuty wszystkie przeciwko Judaizmowi i jego wyznawcom, same przez się upadną i prawda odniesie zwycięztwo. Dla téj też na przyszłość nadziei, letni autor wziął za dewizę do swego dzieła zdanie Cycerona:

Opinionum comenta delet dies, Naturae judicia confirmat.

Pamiątka dla Eryczka, przez Stanisława Jachowicza. Tomik trzeci. Warszawa, 1847, w drukarni J. Ungra, str. 95, w dwunastce większéj, z rycinką.

Niewyczerpany w zasobach i nigdy w szlachetném dążeniu ku dobremu młodego pokolenia wychowaniu nieustający Stanisław Jacho-

wicz, którego imie znaném jest każdemu niemal dziecku, dla tychże tak ukochanych przez siebie dziatek, nową książeczkę wytłoczył.— *Pamiątka dla Eryczka*, jakieśmy to już kilkakroć w piśmie naszém powtórzyli, zasługuje na wziętość powszechną, którą w tak krótkim czasie zjednała. Wprawdzie dobrą ma firmę, jako praca tyle już zasłużonego pisarza, ale się zdarza często w literaturze naszéj, iż miano najszlachetniejsze, nie wzbudza współczucia—i przeciwnie.

W nowym oddziale *Pamiątki*, jeszcze obfitszéj pod względem doboru rzeczy i rozmaitości od dwóch poprzednich, znajdujemy: Bajki i powiastki;—Rozmowę ojca z Wojtusiem na targu;—Różne wynalazki przez S;—Wierszyki budzące uwagę;—kilka powieści, jak: Dwaj przyjaciele domowi, kwiaty i t. p.—Dalszy ciąg rozmów przygotowujących do Grammatyki—i ciąg dalszy tego, jak się Eryczek uczył rachować (dwa artykuły najważniejsze);—Piosnka zimowa, przez M.M.;—piękny wierszyczek od mamy do Lorci siostry Eryczka, przez Józefa P.;—Różne sposoby mówienia objaśnione;—Wyjątki z dzieła S. Radziwiłła;—wierszyki moralne;—rozmaitości;—zagadki i kilka innych przedmiotów.

NOWINY.

Słyszeliśmy o przekładzie na język polski *koranu*, który już jest wykończony i tylko na druk oczekuje.

— Skotnicki wydaje wzory i dziełko nauczające pięknie i spiesznie pisać.

—Jan Szwajnic, Nauczyciel kursów pedagogicznych i b. prawnych członek komitetu egzaminacyjnego, ukończył już *Historę Narodu i państwa Rzymskiego podług źródeł i nowszych badań* napisaną.

— Kursu nauk, przeznaczonego do pomocy w domowém wychowaniu panien, przez Narcyzę Żm., tom pierwszy kończy się już odbijać w drukarni Stan. Strąbskiego.

— Tomaszewski Józef wydał w swéj drukarni nową powieść we trzech tomikach p. t. *Nocy na Cmentarzu*, przekładu Seweryna P. tłumacza *Tajemnic Londynu* i wielu dzieł innych.

— Znany poeta polski Wincenty Pol, jest teraz redaktorem *Biblioteki zakładu naukowego Ossolińskich* wydawanéj we Lwowie, która zapewne pod jego kierunkiem zrzuci dawną zmurszałą postać swoję.